



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Sire czorty : nowela wierszem z dni dzisiejszych / Adam Stodor [pseud.].

Liczba stron oryginału

38

Liczba plików skanów

38

Liczba plików publikacji

39

Sygatura/numer zespołu

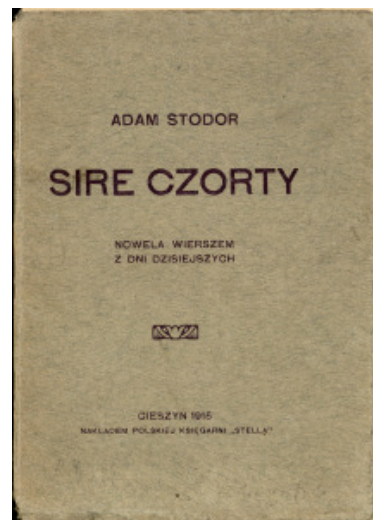
C I 034062

Data wydania oryginału

1915

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



**Fundusze
Europejskie**
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



ADAM STODOR

SIRE CZORTY

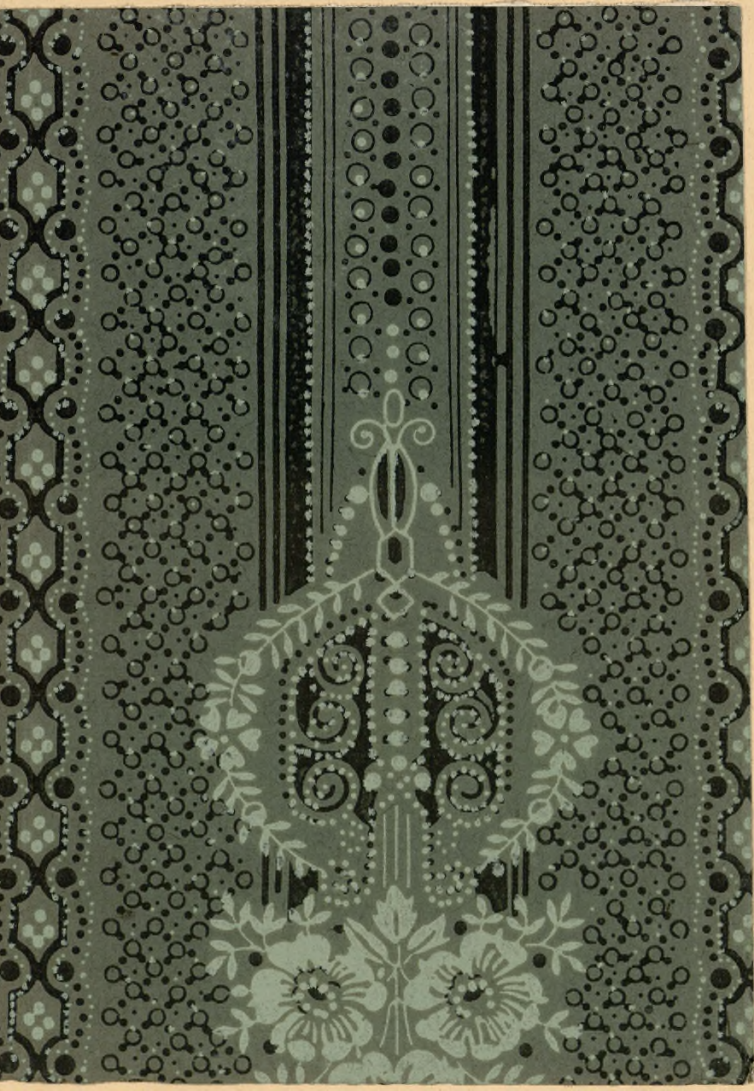
NOWELA WIERSZEM
Z DNI DZISIEJSZYCH



GIESZYN 1915

NAKŁADEM POLSKIEJ KSIĘGARNI „STELLA”





671

ADAM STODOR

SIRE CZORTY

**NOWELA WIERSZEM
Z DNI DZISIEJSZYCH**



CIESZYN 1915

Nakładem polskiej księgarni „Stella”

884-354

C 034062 I



Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszynie.



...Przy węgierskiego wina butelczynie,
ja, co to piszę, i rotmistrz huzarów,
o tem, co będzie, było i jest ninie,
gwarzym we dwoje... Z przeszłości obsza-
rów

jeden za drugim obraz ku nam płynie,
a wspomnień dosyc z czasów Wielkiej
Wojny,
która zmieniła w piekło czas spokojny.

Rotmistrz ma rękę lewą na temblaku,
na piersi świeci »żelazna korona«,

lecz w czarnem oku zniechęceń ni znaku,
jak przedtem i dziś fantazyja szalona
kreśli ognisćie ponęty biwaku
wśród nocnej ciszy, lub śmiałe podjazdy, —
a oczy jego goreją, jak gwiazdy.

I nie dziwota, bo to Węgier rodem,
z sercem, co ciągle w nim krzesze czar-
dasza, —

pomimo rany, w jego ciele młodem
ognistość, która dziwi i przestrasza,
coś, co go wiąże sympatją z narodem,
który bój kocha też żarnie, ogniście,
a dziś go zwierzył swemu legioniście...

Dzisiajbym, bracie, — tak rotmistrz po-
wiada —

zaraz na konia skoczył, ale ręka
głupia wstrzymuje... Zaiste, nie rada
dusza przeszkodzi, kiedy szrapnel pęka
na polach bitwy, i na szyki spada
braci mych może, lub na polskie woje,
co też zdobyły męstwem serce moje.

Bo, bez obłudy i donkiszoteryi, —
 (szablą-bym siekał wszystkich samochwal-
 ców!) —

nie znoszę owej beczynnej mizeryi
 mojego »dzisiaj«, tych mdlących zakalców
 niby-zachwyków wciąż z tejże materyi,
 że piersi moje znak zaszczytny złoci...
 Mam go, wiem o tem, do stu jasnych
 kroci!...

Lecz nikt nie spyta, chociaż głową kręci,
 za co mi dał go Król węgierski dobry,
 za co rotmistrza miał w swojej pamięci, —
 o, nie zdobyły go karciane robry,
 lecz czyn, co duszę zachwyca i smęci, —
 raduje, bowiem odwagą zdobyty,
 smęci, bo żalu wspomina dosyty.

Prosisz: opowiedz... Chętka do gadania
 napada duszę, może z tego wina, —
 bo żywa przeszłość duszy się odśłania,
 a serce piękne te czasy wspomina,

kiedy mi obcą była cisza tania,
 a ruch i życie i bój był mi co dnia,
 jak gorejąca radości pochodnia...

Opowiem... Słuchaj... Ciekawe, — a przy-
 tem
 tobie tem bardziej, żeś Polak, a ony
 czyn, co me piersi ozdobił zaszczytem,
 przez miłość ku wam jeno osiągniony.
 Ona zrodziła owy czyn szalony,
 ona w zuchwałym utwierdziła czynie,
 ona, ta miłość i wdzięczność jedynie...

A dwa się łączą w tej sprawie wypadki, —
 jeden początkiem, drugi epilogiem, —
 w pierwszym, maluczko, aniołki na świadki
 miałbym, stanąwszy sam przed Panem Bo-
 giem,
 a ty byś mojej dziś nie słuchał gadki, —
 drugi skończony masakrą Moskali,
 ale zgon druha dotąd serce żali.

Pierwszy się zdarzył dawniej, w listo-
 padzie,
 kiedyśmy Rusów bili ponad Prutem,
 walcząc przeciwko nim i przeciw zdradzie,
 drugi Użoka blisko, kędy w lutem
 starciu z Moskałem, dwa tygodnie w zwa-
 dzie
 orężnej nasi wytrwali żołnierze,
 niezlomni ciągle w tejże samej mierze...

Ale powracam do zdarzeń początku...
 Staliśmy wtedy kwaterą w Szigecie,
 skąd, jakby z centrum zabójczego wątku,
 z którego zgony rozsnuwasz po świecie,
 komenda nasza, stojąc na widecie
 wszystkich wypadków, oddziałami słała
 szeregi w góry, ofenzywą śmiała.

Aż raz wieczorem pułkownik mnie wzywa,
 — byłem od dawna jego ulubieńcem,
 czciłem go zasie jak ojca... Tak żywa
 krew zaś w nim wrzała, że zawsze rumień-
 cem

płoneło lico, acz czupryna siwa
i wąs srebrzysty powiadały o tem,
że sześć krzyżyków ma za życia płotem.

Siedział przy mapie w myślach pograżony...
— Jutro, rotmistrzu, rano ruszysz w drogę...
W Galicyę wejdiesz od węgierskiej strony
przez Woronienkę... A czy ręczyć mogę,
że z twych wywiadów będziemy mieć
plony?...

Zbadać masz drogi, mosty, i języka
dostać tam... Taki zaszczyt cię spotyka...

Weźmiesz garść ludzi z swojego szwadronu,
sam ich dobierzesz, dwudziestu najwyżej,...
by zaś wyprawa nie była bez plonu,
jak można wrogom podsuń się najbliżej,
ale ostrożnie, — li głupiec do zgonu
pędzi na oślep, jako ćma do świecy,
myśmy szaleństwu w rozkazie dalecy...

Umiesz po rusku? — ...Nieco, pułko-
wniku! —

— Może kto umie z twych ludzi w szwadronie?...

Tylko uważaj! Nie życzę wyniku,
gdy zdrajca wie, bo ten ruble chłonie,
gdzie tylko może, a dziś ich bez liku...

Trzeba ci kogoś, co jest chwał nie lada,
i wie, jak dzisiaj w czas wojny się gada...

— Jest w mym szwadronie Polak... Jako
szatan

zażywa konia... Sierżant... Zwie się Wrona...

— Polak nie zdradzi, sercem z nami zbra-
tan...

Jak dyabeł jeździ?... Sroce z pod ogona
widać nie wypadł... — A koń jego, Łatan,
przemądre zwierzę... — Bierz więc tego
człeka

i w drogę świtem, raźnie, czas ucieka...

Kiedyś, szczególnie ciekawej wyprawy
opowiem może, dziś zaznaczę krótko,
że się z zapalem wziąłem do tej sprawy,
aż pod Delatyn dotarłem cichutko,

i już sądziłem, że syty z obławy
w cenne zapiski, wrócę niedraśnięty,
acz Moskwie wlażłem nieomal na pięty.

Czasem jedynie, bywało, w oddali,
której dosięgnąć nie potrafi kula,
przez szkła widziałem kozaków-szakali,
co jak zające gnali, gdzie otula
zbiega las świerków o kolorze stali,
gdzie z trudem dotrzeć jeno mogą konie,
na pust węgierskich wychowane łonie.

A każdy chłop zaś, spotkany na drodze,
nagle, bo także pierzchali nam z oczu,
pokornie mamląc: »Sława...« w wielkiej
trwodze,
pragnął czem prędzej w przepaść, na ubo-
czu,
zsunąć się chyłkiem, — a badany, srodze,
kłał się na wszystkie Mikoły, Hryhory,
że tu Moskala niema do tej pory...

Ale nie poszło tak gładko z powrotem, —
cudem zaiste uniknąłem śmierci, —
bo wracających żegnano świegotem
kul nieraz z jakiejś zatraconej perci,
a zaś po wierchach krwawiącym błyskotem
poczęły watry zdradzać nasze drogi,
co rozumiały doskonale wrogi...

Doszło do tego, że pod Tatarowem
przez sotnię trzeba było się kozaków
przebić, że drogę zaś przecięto rowem
chytrze przykrytym, więc pięciu junaków
w starciu szalonem utraciłem owem,
reszta, kozuniów nasiekłszy do woli,
uszła szczęśliwie śmierci, lub niewoli.

Lecz było ciepło, — więc, do stu szatanów,
myślę, jeżeli wrócim, będzie cudem,
co chwila grozi nam tutaj Satanów,
walka z Moskałem i z zdradzieckim ludem,
trudno się bawić jedynie w Tytanów,

złość chłodzić trzeba ostrożności lodem —
Szandor, na zwiadach, niechaj jedzie przodem!

Więc dziarski Szandor, huzar nad huzary,
popędził naprzód, — my w kwadrańsik
potem

ruszyli za nim, pełni ufnej wiary,
że nas ostrzeże wystrzału łoskotem,
gdy będzie trzeba, a my zasię dary
Moskwie zgotujem, i wyszle do piekła
garść ich szablica w uderzeniach wściekła.

Nagle... strzał, tentent... Huzara w galopie
koń, lecz bez jeźdźca... Prosto ku nam wali...

Ostrogi w boki konia mego wtopię:

W galop! Szandora uratujem! Dalej!...

Gnam wichrem, za mną Wrona, dzielne
chłopię,

a poza nami reszta chrobra, śmiała,
szablice świecą, w oczach wściekłość
pała...

Pędzim piorunem... Może tysiąc kroków
 przed nami gęstwa kozuniów się czerni...
 Bij! — huknę swoim... Jako grom z obłoków,

tak w czerń wpadamy, i odwadze wierni,
 na prawo, lewo rąbiemy od boków,
 choć z lasu ku nam grzmia gęsto wystrzały...
 Nic, — kilka guzów, zresztą pluton cały...

Za nami już są tchórzliwe kozaki,
 kilku z nich padło, wielu z ran się liże...
 Pędzimy dalej, jak drapieżne ptaki,
 w głowie aż huczy po tym walki wirze, —
 »eljen!« i »hurra!« grzmia moje junaki,
 że aż krzyk w wierchy uderza i pada
 echem, gdzie lasu ściana srebrno-śniada...

— Rotmistrz! przeciw nam sunie piechota, —

(miał ostrowidza oczy ten mój Wrona) —
 a z nią zmieszana tutejsza hołota...

— Nic to! Rozbijem!... — Nadzieja to
 płona,

panie rotmistrzu, za sobą podłota
barykadami drogę przegrodziła...

— Tak! Wozy, kłody, skalnych złomów
siła...

Źle — myślę — źle jest... W górę pałasz
wzleci...

Stanąć!... Stanęli... Dalej, szybko z koni...
Dwu z końmi na bok... a my Węgier dzieci,
za karabinki, każdy niech się chroni,
gdzie tylko zdoła, i niech kula leci...
A strzelać zimno i celować dobrze,
jeżeli padniem, to zginiemy chrobrze!...

Wnet się zaczęła ta walka zaciekła...
Nas kilkunastu, a ich setek kilka, —
żygała ku nam ta czereda z piekła
deszczem kul, my zaś z zajądłością wilka
słali im odwet... Dziesiątki powlekła
tych łotrów śmierć tam do piekieł ciem-
nicy,
bowiem nie strzela huzar po próżnicy...

Lecz nie podoła odwaga przemocy!...
 Jął i nad nami Anioł śmierci latać,
 niejednen Bożej wezwawszy pomocy,
 musiał się z śmiercią niszczycielką zbra-
 tać, —

ja sam się Boga poleciłem mocy,
 bo kul draśnięcia już mi ciało rwały,
 a Wrona walczył okrwawiony cały...

Zginać musimy w tej matni do nogi!...
 Nad nami skalna, prostopadła ściana,
 przed nami wrogi i za nami wrogi, —
 już tłuszcza naprzód, przez żołdatów gnana,
 pędzi i wyje, a wraz z nią ożogi,
 siekiery, cepy... Dobyłem szablicy...
 Kolbą w łby wali Wrona krwawolicy...

Wtem nagle huki, w górze ponad nami...
 Szalenie szybko lecą kule gradem
 w tłuszcze, w żołdatów... Gina szeregami
 wyjąc, złorzeczac... Gwałtownym napadem

wstrzymani tłoczą się, kłębią, trupami
ścieląc gościniec, — a my, acz pomocą
zdziwieni, walim w nich też strzałów mocą.

Tymczasem w dali, kędy wozy owe
i barykady w poprzek drogi były,
grać się poczęło widowisko nowe, —
z zboczy gór, z lasu, biegiem pełnym siły
w Moskwę runęły mundury stalowe,
a każdy pole z nieprzyjaciół czyści, — —
a Wrona wrzeszczy: Nasi! Legioniści!...

Tak to uszedłem śmierci, czy niewoli,
uratowany przez dzielne Polaki,
oraz poznałem tego, który w doli
wojennej był mi droższy nad odznaki
wszelkie zaszczytne, a dziś serce boli,
że gdy ja krzyża szczytę się urokiem,
on krzyż mogilny znalazł pod Użokiem.

Zwał się Nowina... On to słyszał strzały
i wrzawę walki, osłonięty pieczę

skął, oraz lasu, — a że dzielny, śmiały
był zawsze, przeto pospiesznie z odsieczą
podążył, swoich w dwa podzielił działą
i z dwu stron runął piorunem w Moskale,
że pierzchli naraz w dzikiej trwogi szale...

I nie był wynik walki bez korzyści...
Kiedy Polacy dotarli do wozów
i gdy już bagniet plac walki oczyści,
znaleźli w jednym, w uwięzi powrozków,
mego Szandora; siny z nienawiści
przeciw Moskałom, wściekły aż do grozy,
jak wilk rwał zębem niewoli powrozy.

A zaś mój Wrona, acz srodze zdrapany,
kul muśnieniami i czarny od guzów,
wdarł się, ciekawy, między skalne ściany
i tam wynalazł skrytego wśród gruzów
Mochów majora... Błady, wystrachany,
kłał się, że żadnej nie żywi k'nam złości,
lecz musiał słuchać cara jegomości.

Zresztą człek dobry był to, pijaczyna, —
 zapewniał ciągle, że ma oddech krótki,
 ale zapomniał, kiedy mu Nowina
 z manierki swojej dał napić się wódki, —
 pił, pił, aż wypił, — i pyta, czy wina
 nie mamy trochę, bo w środku go pali,
 tak mu żal strasznie poległych Moskali...

On też wyjaśnił, z jakiej to przyczyny
 pierzchli Moskale... — Moskal, takiej
 »sorty«,

jakiej huzary są i lackie syny,
 lęka się bardzo; zwie »czerwone czorty«
 pierwszych, a drugich, że ich mundur
 »siny«,

zwie »sire czorty«*) — no, i wierzy szcze-
 rze,
 że »zbić niegodne ich russkie żołnierze«...

Z owym Nowiną, co wybawicielem
 był mi, złączyły mnie węzły przyjaźni,

*) Autentyczne. P. A.

z czasem tak silnie, że niemal czcicielem
jego się stałem... Był on, jak żelazni
przodkowie wasi, górny zawsze celem,
którego bronić ma do krwi kropelki, —
a Polską zwał się ten cel jego wielki.

Dla niej porzucił dostatki, wygodę,
i własnowolnie ruszył w boje krwawe,
choć chłopięco był nieomal młody, —
a szedł nie po to, by uzyskać sławę,
krzyże, zaszczyty, — lecz, aby urody
przepięknej zdobyć jej czasy wolności,...
do tego celu szedł pełen ufności...

Był jak wy wszyscy, to lechickie panie,
z dziwnego smutku stworzony i siarki, —
czasem tak rzewny, jako skrzypiec granie,
to znów, jak ogień w swych porywach jarki,
wstrętne mu były wszelkie kłamstwa
tanie,

był, jako smętność i ogień czardasza, — —
stąd może przyjaźń ta głęboka nasza...

Więc, acz Nowina bywał im jak brzytwa,—
ostro on trzymał te dzielne chłopaki, —
wojna im była, by uciech gonitwa,
a te najmilsze zaś trębacza znaki,
gdy rozszalała się zacięta bitwa,
że ma ich garstka do szaleństwa śmiała,
bagnetów ostrzem wziąć moskiewskie
działa...

Podobnie było z nimi pod Użokiem,
kiedy Nowina padł na polu chwały — —
Jakbym dziś patrzył na to duszy okiem —
Okrywał ziemię styczniowy śnieg biały,

na jednym stoku my, za drugim stokiem
moskiewskie wojska zgromadzone były; —
już trzy dni wrogie zmagwały się siły...

Inna to walka, iście inna całkiem, —
nie podjazd drobny, lecz gigantów boje,
krwią my tam brali kawał za kawałkiem
lasu, czy góry, — nieprzyjaciół roje
zacięcie trwały w oporze, pyszałkiem
nie był generał ich, gdy wyrzekł słowa:
Dolina ta się zwać będzie: grobowa...

Poza pagórkiem byłem z mym szwadro-
nem, —

od kilku godzin w miejscu myśmy stali,
bezpieczni całkiem za wzniesieniem owem,
oczekujący, aż armat z oddali
atak, kul wyciem zdradzany szalonym,
nieprzyjaciółom nakaże odwroty, —
a wtedy my się weźmiem do roboty... *

Oczekiwanie... Dla zabicia czasu,
zabrawszy Wronę, wlażłem na pagórek,

na którym krzaki pozostały z lasu
wyniszczonego, — i patrzę, gdzie chmurek
bielą się kłęбки od czasu do czasu, —
to nasza strzela z oddali piechota,
i artylerya szrapnelami miota.

A śnać poznali rozważni wodzowie,
że gorzko Moskal odczuwa te strzały,
bo zwolna jęło w tę dolinę mrowie
piechoty naszej schodzić, choć dym biały
ponad doliną, górą, w jej połowie,
i kul pękania, mówiły wyraźnie,
że Moskal krwawą gotuje nam łaźnię.

Mimo to nasi poszli w tyralierce
na te dymiące szarobiałe stoki,
jakby pragnęli zdławić wreszcie serce
moskiewskiej mocy... Już nieraz obłoki
wybuchające, padłszy na kobierce
śniegu, żołnierzy naszych rwały ciała, —
o, krwawą była ta dolina biała!...

A, hen, poza nią, hen, w dali, armaty
nasze zniszczenia nad piechotę słały
groźne pociski Moskwie, rwąc na szmaty
pozycje wroga trafnyimi wystrzały,
że aż wśród naszych, idących, wiwaty
grzmieć poczynają i rósł zapal owy,
co ostrzem bierze nieprzyjaciół rowy...

Wtem, od lewego tej doliny skrzydła,
z wzgórków, o szczytach z przerzedzonym
lasem,
wychodzić jęli żołdaci, by w sidła
flankowych strzałów brać naszych tym-
czasem,
a wlekła z sobą owa czerń przebrzydła
i maszynowe, groźne, karabiny,
by kosić nimi naszych wśród doliny...

I przyszła dla nas wielkiej wagi chwila, —
warkoczą głucho karabiny owe,
niszcząc, jak kosarz, kiedy się pochyla
z kosą i kosi trawę w dni sierpniowe,

a tam wciąż huczą Moskwy strzały dym-
nie,
a tam charkoczą wciąż wściekłe maszyny...
— Zginie, nie ujrzym już pana Nowiny...

I wtopił we mnie Wrona żarne oczy,
i syczy niemal: Gdyby tak za wzgórza
popędzić końmi,... huzar jest ochoczy,...
a potem nagle,... pochyłość nie duża...
runąć w Moskali!... Pan Bóg nas otoczy
Swoją opieką... O, rotmistrzu, panie,
kłada się nasi, jak zboże na łanie...

Nie wiem, co ze mną podówczas się stało...
Na koniu jestem... Komendy krzyk dziki...
Za wzgórz osłoną mkną huzarzy strzałą,
nagle zwrot w górę, — potem na dół,
w szyki
sołdatów,... dymy duszą gęstwą białą,...
wyją huzarzy,... łomoty,... wtem ciemno,...
lece gdzieś,... koń się załamał podemną...



Do przytomności dopiero w szpitalu przyszedłem... Kilka tygodni w pożarze gorączki trwałem, mając po tym balu kilka ran na łbie, i w dodatku w darze muskuł przecięty przez żołdаты carze na lewej ręce, że dotąd mi jeszcze trzymać ją muszą opatrunków kleszcze...

A gdy już lepiej nieco ze mną było, ujrzałem obok mego łóża Wronę, co radość w sobie tłumił całą siłą, że snąć nie umrę... On starcie szalone i atak, gdy mnie nagle zmysły ściło, opisał w dalszym, korzystnym przebiegu, acz dość huzarów legło, tam, na śniegu...

— Wzięli, rotmistrzu, my te karabiny, i w puch rozbili moskiewskie żołdаты, kozuniów na miał starli dwie seciny, co z lasku wyszły dla swojej zatury,

zajęli lasek, a za nim armaty
 cztery moskiewskie do strzału gotowe, —
 krótko, pobili tam Mocha na głowę...

A przez ten wylom, przez nas uczyniony
 runęli potem legionu chłopaki,
 z prawej na Moskwę uderzywszy strony,—
 bagnietem wzięły drapieżne junaki
 dwa szance, każdy uparcie broniony,
 dwie nawet przez nich stracili Moskale
 baterye, chociaż bronili wspaniale... —

— A pan Nowina, żyje? — Stał zmieszany
 i pobladł, w ziemię zatopiwszy oczy...

— Żyje? — krzyknąłem... — Panie drogi,
 rany

nie zabliźnione, spokojnie... Otoczy
 mnie ramionami, i drżący, rozłkany
 jąka: Niedobry ten nasz pan Nowina,
 w niebiosach o nas pewnie zapomina...

— Mów! — nakazuję... — Baterye prze-
 klęte — —
 murem Moskale zwartym przy nich stali,
 a legioniści, chłopaki zacięte,
 jako lwy pędzą k'nim z niewielkiej dali,
 przodem porucznik, jakby na przynętę, —
 gruchnęły strzały! — padł na miejscu tru-
 pem!...
 ale baterye naszym były łupem... —

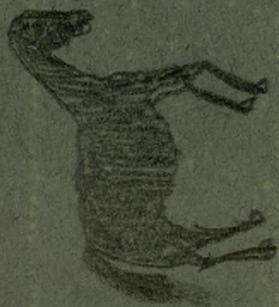
Opadłem, gorzko łkając, na posłanie — —
 Ale czas leczy i najsroższe rany,
 więc ozdrowiałem... Może i mnie, Panie,
 w niebiesiech wyrok śmierci napisany,
 boć idę wkrótce, kędy kul śpiewanie, —
 a jednak, kiedy myślę o Nowinie,
 to zawsze łza mi do oczu napłynie...

Szlachetny, dobry, prawdziwy Lechita, —
 był duszy mojej skarbem i promieniem,

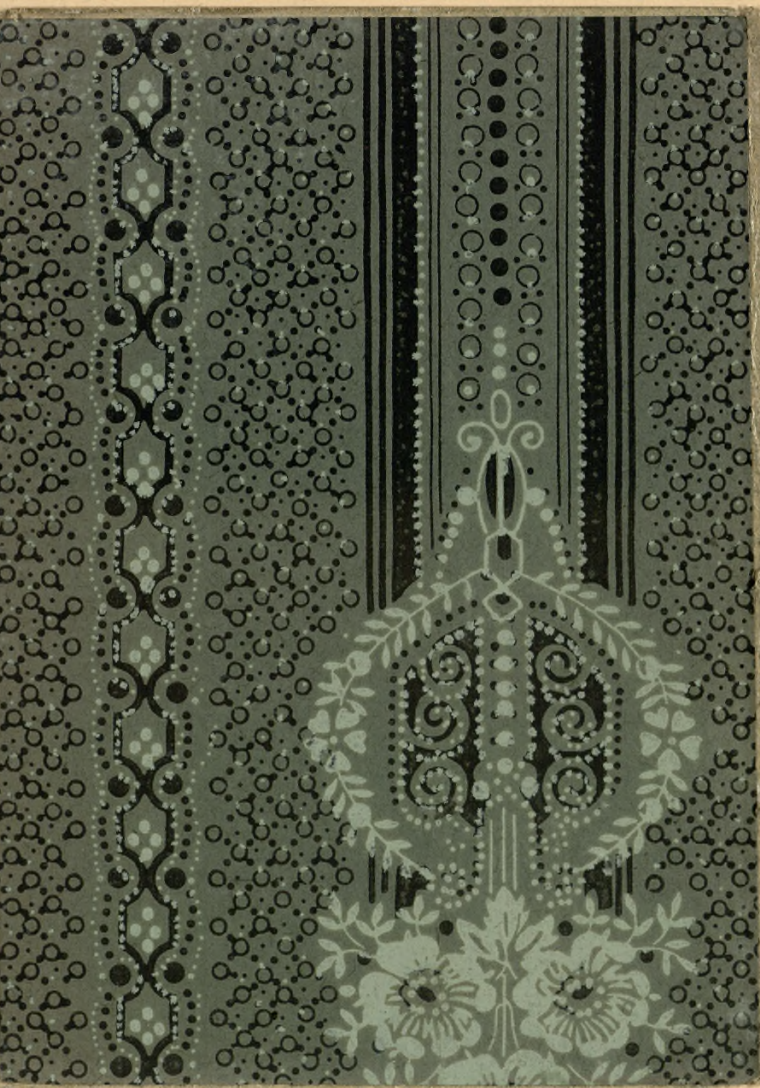
tym, który w czasie burzy jaśnią wita,
acz wokół wszystko chmur okryte cie-
niem, —
przez niego w duszy ta pewność zdobyta:
Śmierć nieraz szczęściem ofiarność za-
płodni, —
godniście Polski, niepodległej, godni! —

A b s a m , w Tyrolu, 1915.









Biblioteka Śląska *Komp.*

C034062

I

K 101
Kzg 1 2857/67 100 000